

49

PRZEDRUK WZBRONIONY.

B. GÓRSKI.

REWOLUCJA FRANCUSKA

■ ■ ■

Wydawnictwo „UNIVERSUM” Warszawa, ul. Leszno 67.

Składy główne:

Polskie Tow. Księgarni Kolejowych «Ruch» Warszawa

«Dom Książki Polskiej», Warszawa

«Gebethner i Wolff» Warszawa

„Universum” wydaje fascynujące książki o słynnych ludziach, burzliwych czasach, wielkich wydarzeniach i ciekawych krajach.

Co tydzień ukazuje się nowa książka Biblioteki »Universum«.

2 i pół złotego kosztuje prenumerata kwartalna »Universum« wraz z przesyłką

13 książek otrzymuje w ciągu kwartału każdy prenumerator »Universum«.

Prenumeratę można rozpocząć w każdej chwili, od każdego bieżącego numeru.

Opłatę abonamentową można uiścić, wpłacając 2 i pół złotego do P. K. O. na konto 372 albo znaczkami pocztowymi.

Prospekt ilustrowany Biblioteki »Universum« wysyła na żądanie całkiem bezpłatnie administracja.

A d r e s Biblioteki »Universum« brzmi:
»Universum«, Warszawa, ul. Leszno
87 (tel. 11—64—64).

Zostań prenumeratorem „Universum”!

„Park jeleni“ — harem króla francuskiego.

Madame Pompadur szybko się starzała i nie odznaczała się już tym wdziękiem, co dawniej. Minęły czasy, kiedy przewyższała wszystkie damy dworu pod względem praktyk miłosnych. Słynna kokota ze łzami nieraz w oczach wspominała chwile, kiedy to król Ludwik XV na klęczkach błagał ją o „szaleństwa“, których była mistrzynią.

Nowa gwiazda ukazała się na dworze królewskim. Serce monarchy zdobyła niepodzielnie pani Dubarry, piękna prostytutka, która z czasem stała się faktyczną władczynią Francji. Bali się jej najwyżsi dostojnicy państwa i nawet członkowie domu panującego. Ileż to razy zdarzało się że minister otrzymał dymisję jedynie dlatego, bo nie dość grzecznie uklonił się ko-chance Jego Królewskiej Mości. Starczyło z drugiej strony, by jakiś młodzieniec spodobał się pani Dubarry, by potrafił zaspokoić jej popędy erotyczne, a miał już utro-rowaną drogę do najwyższych stanowisk.

Tak, były czasy, kiedy z takich samych względów i przywilejów korzystała madame Pompadur, ale jej gwiazda wygasła bezpowrotnie. Za każdym razem, gdy stwierdziła, że ten lub ów dostojnik nie zwraca już na nią tyle uwagi, co dawniej, ból niewymowny ścisnął jej serce. Prędko pobiegła w takim wypadku do swego buduaru, wydobyla najlepsze maści i olejki, zalecane przez specjalistów - lekarzy, robiła masaż, zajmowała się z osobna każdą zmarszczką, nie żałowała sił, wykazywała nadzwyczajną cierpliwość — ale cóż? Młodość nie wracała. Pani Pompadur musiała się w końcu pogodzić z nowym stanem rzeczy. Nie będzie już nigdy kochanką króla, ani nawet żadnego z wysokich dostojników.

Ale odejść, całkiem opuścić dwór — na to zbrakło jej sił. Postanowiła przysłużyć się królowi drogą pośrednią. Znała jego upodobania i znała się również na wdzięku i zaletach kobiet. Pani Pompadur założyła dla monarchy wielogłowy harem, który niczem nie ustępował słynnym haremom władców egzotycznych. Nawet je przewyższał.

„Parkiem jeleni” nazywała pani Pompadur ów precudny, złotem kapiący gmach, w którym ulokowała swe pięknoś-

ci, sprowadzane z najróżniejszych prowincyj Francji i najdalszych zakątków świata. Za pośrednictwem pięknych obywaterek „parku jeleni” różne wysoko postawione osobistości, a przede wszystkim sama pani Pempadur wpływała na decyzje rozpu-
stnego króla w najważniejszych sprawach państwowych. Chwilowe upodobanie monarchy, powodzenie tej czy innej kobiety z haremu decydowało nieraz o takim czy innym posunięciu w polityce Francji. Dyplomaci stawiali na piękności „parku jeleni” jak gracze na konie wyścigowe. Dwór królewski zamienił się w najohydniejszy dom rozpusty i obłudy, a jego luksus i rozrzutność nie miały poprostu granic. Król otoczył się zgrają pasorzytów, pochlebców awanturników i oszustów, którzy pod różnemi pretekstami, przeważnie za dostarczanie monarsze nowych piękności pobierali olbrzymie sumy, podczas gdy skarb państwa stale borykał się z trudnościami.

Gdy umarł Ludwik XV, i jego miejsce zajął Ludwik XVI, sytuacja w państwie nie uległa zmianie. Nowy król nie był wprawdzie rozpustnikiem jak jego poprzednik, ale sprawami państwowymi też się nie zajmował. Oddawał się z choro-
bliwą namiętnością polowaniu i w ogólnym interesować się nie chciał. O wstę-
p

stkiem decydowała faktycznie królowa Marja Antonina, a tapod względem rozputy niczem nie ustępowała poprzedniemu monarsze Ludwikowi XV. W całej Francji mówiono o niezwykłych skandalach na dworze królewskim, do których stale była wmieszana królowa, przeważnie jako główna bohaterka.

Jednocześnie rosta nędza ludu w miastach i na wsi. Szlachta i duchowieństwo prawie wcale podatków nie płaciły, a wszystkiemi niemal ciężarami obarczano chłopów i mieszczan.

Ludowi dokuczały również sprzedajne i swawolne sądy królewskie. Rzeczą jednak najokropniejszą były tak zwane Lettres de cachet (Rozkazy uwięzienia). Za ich pomocą dwór i kreatury dworskie mogły aresztować każdego, kto im się nie podobał, i zamknąć go w strasznem więzieniu, zwanem Bastylją. Rzadko kto się z tego więzienia wydostał. Ludzie przesiedywali dziesiątki lat, jeśli tak długo wogóle wytłizmywali, i nie komunikowano im nawet, za co ich aresztowano. Bywały wypadki, że więźniowie błagali, by im powiedziano, co się dzieje z ich najbliższymi, a do końca życia się nie dowiadywali. Więźniów wcale nie przesłuchiowano, a przeważnie jedyną przyczyną uwięzienia, była

przecież niechęć jakiegoś dworaka lub sprostytuowanej damy dworskiej. Bastylja widziała w swych murach najwybitniejsze umysły ówczesnej Francji, z których większość wymordowano, nieraz bez sądu nawet.

Wyroki śmierci wykonywano w sposób najokrutniejszy i najbardziej barbarzyński: łamano kołem, ścinano, wieszano, palono na stosie, torturowano, szarpano rozpalonemi obcęgami, ćwiartowano, a o sposobach, stosowanych na rozkaz dworu przez dozorców więziennych w ciemnych celach, nigdy się już nie dowiemy.

Nędza w kraju przyjmowała zastraszające wprost formy. Tysiącami wałęsali się wszędzie żebracy, po wsiach panoszyło się rozbójnictwo, które zabierało chłopom ostatni kęs chleba. Jednocześnie rósł ustawicznie luksus i przepych dworu, który liczył już blisko 2.000 osób. Wszystkie one żyły na szeroką skalę i pobierały nadzwyczaj wysokie pensje. Wystarczy powiedzieć, że pensje guwernantek dzieci królewskich wynosiły po 150.000 franków rocznie!

Ubóstwo ludu i rozrzutność dworu przyjmuje wreszcie takie formy, że nawet anjberwzględniejsi ministrowie nie są więcej w stanie ściągnąć dość podatków, by

utrzymać dwór. Pojawiają się plany, by opodatkować należycie również szlachtę i duchowieństwo. Plany te mają jednak tylko ten skutek, że król zyska sobie wrogów także w sferach uprzywilejowanych, które go dotychczas popierały.

Nieudolni ministrowie królewscy doprowadzają również do konfliktu z armją. Nowy regulamin dyscyplinarny, przewidujący okrutne i uwłaczające kary (bicie klingą szabli) wywołała w wojsku ferment i niezadowolenie nie tylko wśród żołnierzy ale nawet wśród oficerów zaczęły brać górę nastroje bardzo przychylnie kołom opozycyjnym.

Dwór znalazł się pewnego dnia w sytuacji całkiem odosobnionej, podczas gdy przeciwne mu sfery wciąż rosły w siły, aż stały się prawdziwą potęgą.

Nie pomogły aresztowania i zsyłki. Agitatorzy podsycali lud, który cierpiał głód naskutek nieurodzaju. To w tej, to w innej prowincji wybuchały bunt, a dwór nie mógł nawet liczyć na wojsko, które było podrażnione wyżej wspomnianym ostrym regulaminem dyscyplinarnym. Król musiał w końcu przystosować się do żądań zbuntowanych mas i zwołać tak zwane Stany Generalne, w których reprezen-

1
towane były zarówno duchowieństwo i szlachta jak i mieszczaństwo.

Bunt mieszczan.

Otwarcie Stanów Generalnych odbyło się 5 maja 1789 roku w Wersalu. Wybrano to miasto, bo dwór obawiał się wpływu, który mógłby wyrzucić na Zgromadzenie zrewoltowany lud paryski. Stany Generalne składały się z 1214 posłów, z czego 1/4 stanowili przedstawiciele szlachty, tyleż wybrańcy stanu duchownego, zaś połowę reprezentanci stanu trzeciego, to jest mieszczaństwa.

Otwarcia dokonano z nadzwyczajnym przepychem, który towarzyszył dworowi francuskiemu we wszystkich jego poczynaniach. Lud był rozentuzjasmowany. Króla i królową, kroczących do kościoła na czele Stanów witano okrzykami radości. Wnet jednak zapal znikł. Dwór i rząd podkreślały na każdym kroku swój lekceważący stosunek do przedstawicieli trzeciego stanu*) Wybrańców szlachty i duchowieństwa wpuszczono na sale posiedzeń przez paradne wejście, posłów mieszczańskich natomiast przez boczną furtkę. W sali przygotowano dla nich specjalne

* Stan trzeci mieszczaństwo.

siedzenia, które były o wiele niższe od siedzeń reszty posłów. A gdy doszło wreszcie do zagajenia obrad, zarówno król, jak i jego kanclerz Barentin dali nieograniczony upust nienawiści, którą żywili dla stanu trzeciego. Obaj występowali w swych mowach bardzo ostro przeciw „lekkomyślnym zwolennikom różnych nowinek”, podkreślając jednocześnie że o żadnych reformach mowy być nie może. Stany miały jedynie uchwalić podatki i nic więcej.

W myśl programu, ułożonego przez rząd, każdy stan winien był obradować oddzielnie. Deputowani mieszczańscy woleli jednak, by obrady i głosowanie odbywały się razem, bo tylko w ten sposób mogli wykorzystać swą liczebną przewagę. Wysyłają przeto swych przedstawicieli, by ci zaprosili posłów szlachty i duchowieństwa na wspólne posiedzenie. Jako miejsce wspólnych obrad proponują salę, którą przeznaczono dla Stanu Trzeciego. Była to sala największa, bo posłowie Stanu Trzeciego byli najliczniejsi.

Sześć tygodni trwały pertraktacje, ale większość posłów duchownych i szlacheckich słyszeć nie chciała o wspólnych obradach. A w międzyczasie rosło podniecenie i oburzenie mas, które oczekiwały od Stanów Generalnych wielkich czynów.

Lud paryski i wersalski przyjął coraz groźniejszą postawę. To właśnie dodawało otuchy i odwagi zlekceważonym przez dwór i szlachtę posłów Stanu Trzeciego. Zdobywają się oni na krok wprost rewolucyjny.

Dnia 17 czerwca 1789 roku odbywa się bardzo burzliwe zebranie posłów Stanu Trzeciego, którzy uchwalają, że deputowani, obradujący w wielkiej sali uważają siebie za przedstawicielstwo narodu francuskiego i konstytuują się jako Zgromadzenie Narodowe. Do posłów mieszczańskich przyłączyło się kilkudziesięciu posłów Stanu Duchownego. Byli to przedstawiciele niższego duchowieństwa, które cierpiało nędzę i już dawno patrzyło krzywym okiem na bogactwo i rozrzutność swych przełożonych. Autorytet stanu trzeciego wzrósł, a potężne manifestacje ludu na ulicach Paryża i Wersalu dowodziły, że stan ten stał się potęgą.

Na dworze królewskim zapanowała konsternacja. Odbywały się bezustanne narady, na których rej wodziła królowa. Postępowanie posłów mieszczańskich było dla wszystkich niespodzianką. Król wykazywał niezwykle brak stanowczości. Prześcignął przytem wszystkich, gdy chodziło o niedocenianie powagi sytuacji. My-

śli jego wciąż jeszcze zaprzętały prawie wyłącznie sprawy najbliższego polowania.

A stanowisko stanu trzeciego stawało się z dnia na dzień mocniejsze. Nawet wśród posłów szlacheckich dyskutowano sprawę przystąpienia do Zgromadzenia. Królowa Marja Antonina nie posiadała się z oburzenia. Za jej namową król decyduje się jednak coś przedsięwziąć, by nie dopuścić do wspólnych obrad wszystkich stanów.

Przysięga w sali gry.

Dnia 20 czerwca prezydent Zgromadzenia Narodowego Bailly otrzymuje zaawiadomienie, że salę należy przygotować i odpowiednio udekorować na zjawienie się monarchy, wskutek czego posiedzenia muszą natychmiast być przerwane. Zawiadomienie, utrzymane w tonie rozkazującym, było napisane na wizytówce i nosiło podpis mistrza ceremonji dworu. Oburzony z powodu takiego lekceważenia, Bailly odpisał również na wizytówce, że rozkazów, pochodzących od mistrza ceremonji, wogóle nie przyjmuje do wiadomości. Posiedzenie nie zostało odwołane.

Gdy jednak posłowie przybyli naza jutrz, by kontynuować obrady, sala była zamknięta i otoczona wojskiem. Nikogo do

gmachu nie wpuszczano. Zbuntowani posłowie nie dali się jednak odstraszyć. Wiedzieli, że jeśli ustąpią, będą skompromitowani w oczach ludu.

Doktor: Guillotin, ten sam, który nieco później wynalazł maszynę do ścinania głów (gilotynę), oddał Zgromadzeniu Narodowemu do dyspozycji miejską salę gry w piłkę. Tu się zebrali posłowie i obradowali stojąc. Nawet przewodniczący musiał stać, bo w całej sali nie było krzesła, ani żadnych wogóle mebli. Ktoś przyniósł od sąsiada ławkę, na której stawali mówcy.

Posiedzenie miało burzliwy przebieg. Obradom wtórowały entuzjastyczne okrzyki tłumów, zebranych na ulicy przed salą gry. Przemówienia posłów były coraz gwałtowniejsze i radykalniejsze. Wreszcie zapadła uchwała, która miała wielkie znaczenie dla dalszego przebiegu wydarzeń. Stojąc na ławce, prezydent Bailly przyjął od wszystkich zebranych przysięgę następującej treści:

„Przysięgamy nie rozłączać się, lecz zgromadzać się wszędzie, gdzie okoliczności na to pozwolą, dopóki konstytucja tego królestwa nie zostanie uchwalona i oparta na trwałych podstawach”.

Gdy Bailly odczytał tekst przysięgi, na sali panował nadzwyczaj podniosły na-

strój. Wszyscy zdawali sobie sprawę z powagi chwili. Z 600 piersi wyrwało się głośne: „Przysięgamy”. Wtórowały jeszcze głośniejsze okrzyki wciąż rosnących tłumów na ulicy: „Niech żyje Zgromadzenie Narodowe!”.

Kolejno, jeden za drugim posłowie zbliżali się do ławki i podpisem na olbrzymim arkuszu potwierdzili swą przysięgę. Z pośród wszystkich zebranych jeden tylko deputowany zaprotestował i nie chciał podpisać.

Przysięga w sali gry wywarła niezwykle wrażenie. Gdy posłowie trzeciego stanu zebrali się następnego dnia w klasztorze św. Ludwika, zgłosiło się również 149 posłów duchownych, którzy tem samem zaakceptowali bunt mieszczan. Na dworze postanowiono działać energicznie. 23 czerwca otworzono salę obrad i rozkazem króla zwołano posłów wszystkich trzech stanów na posiedzenie, by wysłuchali orędzie monarchy. I tym razem starano się jaknajbardziej upokorzyć przedstawicieli trzeciego stanu, by ich ukarać za bunt. Szlachtę i duchowieństwo wpuszczano paradnem wejściem, zaś mieszczańskich deputowanych kierowano do jakiejś bocznej furtki, gdzie musieli bardzo długo czekać na deszczu, bo furtka była zamknięta. Wśród

posłów stanu trzeciego wrzało jak w kot-
le. Do upokorzonych posłów przyłączył się
tłum, który okrzykami wyrażał swój pro-
test przeciw upokarzaniu jego przedsta-
wicieli. Niektórzy posłowie zaczęli się gwał-
tem dobijać do furtki, którą wreszcie o-
tworzono.

Na sali posiedzeń od pierwszej chwili
panowało podniecenie. Doszło ono do pun-
ktu wrzenia, gdy król w swem prowoka-
cyjnem przemówieniu, ułożonem, jak się
później okazało przez Marię Antoninę, ga-
nił deputowanych i wezwał stany, by się
natychmiast rozłączyły i kontynuowały
obradę oddzielnie, każdy stan w sali, dlań
przeznaczonej. Po tych słowach król opu-
ścił salę, a za nim wyszli duchowni i szla-
chta. Posłowie stanu trzeciego natomiast
nie ruszyli się z miejsca. Kilka minut na
sali trwała głucha cisza.

Wtem na mównicy ukazał się poseł o
postaci, zdradzającej energję i siłę. Twarz
miał brzydką i ospowatą. Przemówił do-
nośnym, grzmiącym głosem, przypominając
zebrany o przysiedze, złożonej w sali
gry. W mowie jego nadzwyczajny patos
był przeplatany gryzącym sarkazmem,
zwróconym pod adresem króla i dworu.
Był to Mirabeau.

Podczas jego przemówienia na sali u-

kazał się królewski mistrz ceremonji i zapytał prezydenta, czy słyszał rozkaz monarchy. Bailly odpowiedział nieśmiało, że Zgromadzenie chce się nad tem naradzić, ale Mirabeau przerwał mu i zwracając się do mistrza ceremonji, powiedział stanowczym tonem:

— Pan tu nie ma prawa przemawiać, ani wogóle być obecnym. Nas wybrał lud. Żadne rozkazy nie potrafią nas zmusić do przerywania obrad. Powiedźcie, mistrzu ceremonji, swemu panu, że jedynie przemocą bagnatów potrafi nas rozpędzić!

Słowa Mirabeau zelektryzowały całe Zgromadzenie. Entuzjastyczne okrzyki i niemilkające oklaski wtórowały słowom Mirabeau. Mistrz ceremonji zląkł się i uciekł. Na mównicy ukazał się deputowany Sieyes i zawołał:

— Panowie deputowani. Jesteśmy dzisiaj tem samem Zgromadzeniem Narodowym, jak i wczoraj. Obradujmy dalej.

Coraz to inny poseł zajmował mównicę. Jeden prześcigał drugiego pod względem śmiałości poglądów i rewolucyjnego zapału. Ktoś zawołał: „Wojsko maszeruje”. Ale nikt nie ruszał się z miejsca. Na mównicy ukazał się deputowany Barnave, młody i entuzjastyczny adwokat z Grenoble. Jak wielu innych przywódców trzecie-

go stanu odznaczał się niezwykłą wymową i przemówieniem swem porwał wszystkich deputowanych. Oficerowie znajdowali się już w przedpokojach sali obrad, ale deputowani pozostali na swych miejscach. Na wniosek Barnave'a Zgromadzenie uchwała że deputowani są nietykalni, a ktokolwiek tę nietykalność naruszy, uznany będzie za zdrajcę ludu i przestępcę stanu. Ścigać go będzie sprawiedliwość ludowa.

W innej sytuacji taka rezolucja byłaby pozbawiona znaczenia. Ale w tym wypadku masy ludowe w całym kraju demonstrowały swą gotowość do obrony krwią własną swych posłów i dlatego nawet królewscy żołnierze nie śmieli zaczepić członków Zgromadzenia. Deputowani w dalszym ciągu obradowali. Królowi nie pozostało nic innego, jak cośnąć zarządzenie, które przed godziną tak wyniosłe wydał i zgodzić się, by Zgromadzenie nadal obradowało w wielkiej sali.

Tegoż dnia do stanu trzeciego przyłączyło się 47 posłów szlacheckich z księciem Orleanu na czele. Ten ostatni miał stare porachunki z dworem i parł do tego, by król został zdetronizowany. W głębi serca marzył o zdobyciu tronu francuskiego dla siebie i swych potomków. Narazie szedł ręką w rękę z rewolucyjnym stanem

trzecim. Jego przystąpienie do Zgromadzenia w każdym razie było poważnym ciosem dla dworu i do reszty poderwało autorytet monarchy. W pałacu królewskim przygotowano się w międzyczasie do zamachu, który miał raz na zawsze położyć kres wicherzeniom trzeciego stanu. W myśl planu, ułożonego przez jednego z ministrów, król postanowił przenieść Zgromadzenie z Wersalu do innego miasta, możliwie najdalej od zrewolucjonizowanego Paryża. Po pozbawieniu Zgromadzenia opieki ludu stolicy miano je zmusić do uchwalenia żądanych podatków i rozpędzić. Wypadki potoczyły się jednak w całkiem innym kierunku.

Bunt żołnierzy.

Rząd zgromadził swe pułki dookoła Paryża i Wersalu. Nie uszło to, rzecz jasna, uwagi ludu, ani Zgromadzenia Narodowego, które zwróciło się do króla z żądaniem usunięcia wojska. Ten odmówił, tłumacząc wykrętnie, że pułki są potrzebne dla ochrony Zgromadzenia. Dodał przytem, że jeśli czują się zagrożeni, to mogą się przenieść do innego miasta. Tem oświadczeniem król odkrył karty. Było dla wszystkich rzeczą jasną, że dworowi zależy właśnie na tem, by wymanić Zgromadze-

nie Narodowe do jakiegoś odległego miasta, a tu je siłą rozpędzić.

W stolicy zawrzało. Księżę Orleanu oddał do dyspozycji ludu swój piękny ogród Palais Royal, w którym gromadzili się tłumnie robotnicy i mieszczaństwo Paryża. Coraz to na innej ławce ukazywali się mówcy, którzy wzywali lud do oporu przeciw knowaniom dworu. Masy rwały się do czynu, nie wiedząc jednak narazie, do czego mają się zabrać. Wówczas przemówił do nich młody adwokat Kamiil Desmoulins, który szybko stał się faktycznym wodzem rozentuzjasmowanych mas. Nie zadowolił się krytyką dworu, lecz dawał wzburzonemu tłumowi konkretne wskazówki, co należy czynić. Jego głos płynął, jak roztopiony metal. Stał na ławce z pistoletem w ręku i zawołał:

— Obywatele, nie mamy ani chwili do stracenia. Jeszcze dziś wieczorem wkroczą do miasta przez Pole Marsowe najemne pułki niemieckie i szwajcarskie, które otrzymały rozkaz wymordowania wszystkich rewolucjonistów. Mamy jedno tylko wyjście, chwyćmy za broń!

— Do broni! — rozległy się tysiące głosów po ogrodzie.

Tłum rozbiegł się we wszystkie strony. W pewnem miejscu najemni dragoni

niemieccy natarli na bezbronne narazie masy i położyli kilkanaście osób trupem na bruku ulicy. Uciekający tłum w dalszym ciągu wołał:

— Do bronii!

Zdobyto zbrojownię ratuszową. Handlarze broni i rusznikarze wydali masom swe zapasy. Tu i owdzie tworzyły się uzbrojone oddziały rewolucyjne. Kilkadzieści osób udało się do opactwa i uwolniło uwięzionych tam kilku gwardzistów. Fakt ten zadecydował o dalszem zachowaniu gwardji, która już dawno zresztą zdradzała sympatje dla rewolucjonistów. Na dworze przekonali się delfinitywnie, że wojsko francuskie nie da się użyć dla walki z ludem. Ukazuje się rozkaz, zabraniający gwardzistom opuszczanie koszar. Jednocześnie najemny pułk niemiecki otoczył koszary, pilnując, by gwardziści się stąd nie wydostali.

W koszarach zawrzało. Pojawili się żołnierze-trybuni, którzy objaśniali kolegom, że nie wolno siedzieć spokojnie w koszarach, gdy rząd szykuje się do rzezi przeciw ich braciom. Wybuchła z całą gwałtownością tłumiona od dłuższego czasu przez dowódców nienawiść do najemnych Niemców. W pewnej chwili żołnierze przerwali straż i wydostali się na ulicę.

Ktoś krzyknął zwracając się do najemnych dragonów:

— Czy trzymacie z trzecim stanem?

— Będziemy posłuszni naszym przełożonym — brzmiała odpowiedź.

Na tę odpowiedź gwardziści zareagowali salwą, która położyła kilku dragonów trupem na miejscu. Walka trwała krótko. Zbrojne wystąpienie gwardji było tak nieoczekiwane, że dragoni uciekli.

Dzwony biją na alarm.

Zrewoltowani gwardziści udali się na plac Ludwika XV, gdzie były zebrane masy ludu paryskiego. Gwardzistów przyjęto okrzykami entuzjazmu. Wojsko ustawiło się w szyku bojowym, a obok niego uzbrojone oddziały rewolucyjne. Czekano na atak królewskich pułków najemnych. Ten jednak nie nastąpił. Obce pułki nie wykazywały zbyt wielkiej chęci do walki z regularnymi oddziałami gwardji. Generał Bezenval uważał za stosowne cofnąć się z powrotem na Pole Marsowe.

W międzyczasie lud w dalszym ciągu się zbroił. Gdy broń, dostarczona z zapasów rusznikarzy, okazała się niewystarczająca, a dalsze poszukiwania nie dały nagle rezultatu, zamówiono 50 000 pik,

które zostały zrobione z nieprawdopodobną szybkością. Zadania uzbrojenia mas wziął na siebie rewolucyjny wydział wyborców, który opanował ratusz. Wydział ten w szybkim tempie organizował milicję obywatelską.

14 lipca rozległy się w stolicy dzwony, bijące na alarm. Ktoś wykrył w podziemiach pałacu Inwalidów ogromny magazyn broni. Tłumy uzbrajały się w dalszym ciągu i wnet z 30.000 karabinów oraz kilku tysięcy pałaszy i mieczów nie pozostało śladu. Wywieziono również na ulicę sześć armat, które znaleziono.

Tłumy wciąż rosły i czekały na hasło. Koło drugiej popołudniu ktoś krzyknął: „Do Bastylji!”, a wnet hasło to zostało podchwyczone przez dziesiątki tysięcy rewolucjonistów. Nic nie mogło tak pobudzić mas do czynu, jak wezwanie do zdobycia tego okrutnego więzienia, które stało się żywym grobem dla najlepszych umysłów i najszlachetniejszych obywateli Francji.

Bastylja była silną twierdzą. Otaczał ją wysoki i nadzwyczaj grubymur z ośmiu potężnymi basztami oraz głęboka fosa. Do wnętrza można się było dostać jedynie po zwodzonych mostach.

Zdobycie Bastylji.

Gdy tłumy zbliżyły się do Bastylji, jej komendant Delaunay dał rozkaz, by ściągnięto mosty zwodzone. Dostęp do Bastylji był odcięty. Tłumy wołały:

— Chcemy Bastylji!

Ale z wnętrza wogóle nie odpowiadało. Lud był bezsilny. Głęboka losa uniemożliwiła dostęp do ufortyfikowanego więzienia. W pewnej chwili z tłumu wyrwali się naprzód dwaj ludzie. Jak się później okazało, byli to sierżant Elie i zegarmistrz Hullin. Doszli do mostu i uderzeniami siekier przerabali trzymające go łańcuchy. Ciężki most spadł i pokrył fosę. Z tryumfującym okrzykiem „Do Bastylji!” tłum rzucił się naprzód, przebiegł most i do tarł do bramy twierdzy.

Delaunay przyjął lud ogniem armatnim. Zahuczała cała artylerja Bastylji, a ze strzelnic posypał się grad kul. Masy były uzbrojone i w pierwszej chwili próbowali strzelaniną torować sobie drogę do wnętrza więzienia. Ale załoga Bastylji kryła się za murami i była bezpieczna. Strzały z karabinów mało albo wcale jej nie szkodziły, podczas gdy ogień skierowany na lud, pochłaniał coraz większą ilość ofiar. W końcu masy zostały zmuszone do cof-

nięcia się z mostu, zostawiając kilkanaście trupów.

W pewnej chwili Elie i Hullin znów wysunęli się naprzód i z okrzykiem „Precz z Bastylją” znów rzucili się ku mostowi. Tłum ruszył za nimi. Walka została wznowiona. Trwała 4 godziny. Bruk i most pokrywały strumienie krwi. Ogień z Bastylji czynił prawdziwe spustoszenia, a ilość ofiar załogi twierdzy była nieznaczną.

Lud kilkakrotnie cofnął się z mostu, by potem z tem większą zaciętością znów rzucić się do szturmu, ale wobec świetnej pozycji oblężonych nic nie mógł wskórać. Zdawało się, że walka jest przegrana.

Wtem na bruku zaturkotały wozy armatnie. To przybyli z pomocą sojusznicy trzeciego stanu — pułki gwardji francuskiej. Teraz do Bastylji strzelali doświadczeni wojacy i to z armat. Delaunay ściągnął do strzelnic wszystkie swe rezerwy i kazał wzmocnić atak. Wciąż wołał:

— Włóć więcej ognia! Nie żałować ognia!

Rozwinęła się gwałtowna walka w myśl wszystkich reguł wojny. Ziemia przed Bastylją znów pokryła się dziesiątkami ran nych i zabitych. Teraz jednak wewnątrz Bastylji odczuwano coraz dotkliwiej skut-

ki obłączenia. W pewnej chwili część załogi odmówiła posłuszeństwa. Żołnierze stracili odwagę, widząc, że gwardziści walczą po stronie ludu. Delaunay wpada w rozpacz. Wie, co go czeka, jeśli rozgoryczony tłum dostanie się do wnętrza więzienia. Woli przedtem zginąć i postanawia wysadzić Bastylję w powietrze. Uda się niepostrzeżenie do prochowni, by ją podpalić. W ostatniej chwili jego zamiar został jednak wykryty przez resztę załogi i zamach udaremniono.. Na murach twierdzy ukazała się biała chorągiew.

O godzinie piątej przed wieczorem lud Paryża zdobył Bastylję i uwolnił więźniów. Działo się to 14 lipca 1789 roku.

Załogę twierdzy pozostawiono przy życiu, gubernatora oraz komendanta Bastylji jednak tłum zabił, a ich głowy wetknięto na piki i obnoszono po mieście.

Dwa dni później Bastylja została zrównana z ziemią. W tym samym dniu wybrano nową radę miejską dla Paryża. Znacomity uczoney Bailly został burmistrzem, zaś deputowany Lafayette komendantem milicji obywatelskiej, której nadano nazwę „Gwardja Narodowa”. Jej symbolem stała się trójkolorowa kokarda niebiesko-biało-czerwona.

Amazonka rewolucji.

Zdobycie Bastylji odbiło się głośnem echem w całej Francji. Dla głodujących i wiecznie maltretowanych chłopów było ono hasłem do uwolnienia się od szlachty. Cała gorycz, która zebrała się w ciągu wieków, została teraz wyładowana z nieprawdopodobną gwałtownością. Chłopi niszczyli zamki i pałace szlacheckie, klasztory i plebanje zostały podpalone. Tygodnie całe unosiła się nad Francją krwawa łuna pożarów. W Daulphine padło w ciągu dwóch tygodni pastwą płomieni aż 270 pałaców. Setki właścicieli ziemskich zmuszonych było uciec przed gniewem ludu i ukrywać się przez dłuższy czas poza granicami Francji. Zorganizowały się specjalne bandy które niczem innem się nie zajmowały, jak plądrowaniem dworów szlacheckich. Nad Francją zawisła groza anarchji i chaotycznej wojny domowej.

Całe Zgromadzenie Narodowe ogarnął niezwykle zapał, by za wszelką cenę uratować Francję przed grożącą jej zgubą. Początek zrobił wicehrabia Noailles, który na posiedzeniu nocnem 4 sierpnia 1789 roku wygłosił płomienne przemówienie w obronie równości wszystkich obywateli i zrzekł się wszystkich swych przywilejów.

W zgromadzeniu panował niezwykle entuzjizm. Jeden po drugim wstępowali na trybunę wszyscy deputowani szlachty i duchowieństwa i za przykładem Noailles'a również rezygnowali ze swych wyjątkowych praw. Była to niezwykle noc. W ciągu kilku godzin znikły we Francji wszystkie stare przywileje, uświęcone wielowiekową tradycją. Do północy zostały zniesione poddaństwo, sądownictwo patrymonjalne, prawo polowania na obcych gruntach, przywileje podatkowe szlachty i duchowieństwa, sprzedawanie urzędów, przywileje miast i prowincyj, przymus cechowy i wiele innych.

Po zniesieniu przywilejów stanowych Zgromadzenie Narodowe uchwaliło i ogłosiło „wobec Najwyższej Istoty” — jak to zaznaczono w odnośnym dekrete — deklarację, zawierającą podstawowe prawa człowieka, oparte na wolności i równości wszystkich bez wyjątku obywateli. W ciągu krótkiego czasu Francja zmieniła radykalnie swe oblicze polityczne i społeczne, stając się zarazem wzorem postępu i wolności dla innych krajów Europy.

Król z początku lekcewał sobie cały ruch rewolucyjny i przez długi czas nie chciał nawet przerywać swych polowań, by poświęcić nieco więcej uwagi sprawom

państwowym. Król przez całe swe życie prowadził dziennik, w którym zapisywał wrażenia z ubiegłego dnia. Dotyczyły one przeważnie rezultatów polowania. Otóż w dniu 14 lipca, kiedy lud paryski zdobył Bastylję, Ludwik XVI zanotował w swym dzienniku jedno tylko słowo: „nic”. Oznaczało, że nic nie upolował. Nic innego monarcha francuski nie miał w tym historycznym dniu do zanotowania...

Z czasem jednak, gdy Zgromadzenie Narodowe znosiło jedno za drugim przywileje stanów i ograniczało coraz bardziej prawa króla, dwór, a przede wszystkim królowa Marja Antonina zabrała się energicznie do dzieła. W myśl jej rad król udawał, że pogodził się z nową sytuacją, ale w ukryciu knuł, by znieść wszystkie reformy, zaprowadzone przez Zgromadzenie Narodowe. Ułożono plan, by króla sprowadzono do Metzu, gdzie gubernator Lotaryngji oczekiwał monarchę z dość liczną armją. Na jej czele król miał wrócić do Paryża, rozpędzić Zgromadzenie Narodowe i przykładnie ukarać rewolucjonistów.

Pewnego dnia do Wersalu wkroczył pułk flandryjski, który w myśl powyższego planu miał towarzyszyć monarsze do Metzu. Dwór poczuł się pewnym siebie i zaczął się zachowywać prowokująco. Na

bankietach, wydanych przez królewską gwardję przyboczną dla oficerów flandryjskich, deptano trójkolorowe kokardy niebiesko-biało-czerwone, wydobywano szable i przypuszczano szturm do łóż sali balowej, jakby w nich odbywały się posiedzenia Zgromadzenia Narodowego. Pijani oficerowie wykrzykiwali nazwiska przywódców rewolucyjnych, których wymordują, gdy wojsko królewskie tylko wejdzie do Paryża. Na tych bankietach byli obecni król i królowa i całkiem otwarcie wyrażali swe zadowolenie z powodu demonstracji, które nie mogły przecież ująć uwagi Zgromadzenia Narodowego, obradującego w tem samem mieście. Od księcia Orleańskiego, który utrzymywał kontakt z niektórymi dworakami, dowiedziano się o planowanym zamachu.

Wiadomość o planach króla i prowokacyjnych demonstracjach oficerów lotem błyskawicy rozeszła się po Paryżu. W stolicy znów zawrzało. Rozpoczęła się agitacja za natychmiastowem sprowadzeniem króla do Paryża, gdzie miał pozostać pod dozorem ludu, aby nie mógł knuć przeciw rewolucji. W akcji tej odznaczyła się w szczególności słynna w owym czasie Theroigne de Mericourt, zwana amazonką rewolucji. Była to nadzwyczaj piękna dziew-

czyna, która chodziła z jednego zebrania na drugie, agitując lud przeciw królowi i jego dworowi. Jej przemówienia miały niezwykły wpływ na masy, które gotowe były na jej wezwanie przedsięwziąć najniebezpieczniejsze akcje. Mericourt chodziła zawsze uzbrojona, a w czasie pochodów siadała zwykle w malowniczej pozie na armacie. Jej to należy zawdzięczyć w wielkiej mierze, że w dniu 5 października kobiety paryskie ruszyły pochodem do Wersalu, by sprowadzić króla do Paryża. Pomocnica Mericourt weszła na jej rozkaz do odwachu i zabrała stamtąd bęben, którym biła na alarm. Zaczęli się również zbierać i mężczyźni, których uzbrojona „amazonka rewolucji” zachęcała do czynu przeciw knowaniom dworu.

— Do Wersalu! — rozległo się wśród tłumu.

— Króla do Paryża! — wołali inni.

Do masy kobiet i mężczyzn przyłączyli się również członkowie gwardji narodowej z komendantem Lafayetem na czele.

Po drodze do Wersalu tłum zatrzymywał wszystkich gońców, podążających z Paryża do Wersalu. Chciano, by dwór nie był uprzednio powiadomiony i nie mógł zawczasu uciec. Przed wieczorem cały po-

chód znalazł się przed Zgromadzeniem Narodowym, które wydelegowało swego prezydenta, by prowadził delegację ludu do króla. Ten przyrzekł uczynić wszystko, czego od niego żądano. Gdy jednak delegacja opuściła pałac królewski, gwardja przyboczna monarchy zaczęła w brutalny sposób rozpędzać demonstrantów. Wywiązała się zacięta walka, podczas której dwóch gwardzistów przybocznych zostało zabitych. Nad ranem lud wtargnął do zamku. Ze znienawidzonych gwardzistów znów padło kilku z rąk demonstrantów. Masa zbliżała się do komnat królewskich. Królowa ledwo zdążyła uciec ze swej sypialni, by dostać się bosa i prawie naga do dalszych pokoi. La Fayette próbuje pośredniczyć, ale lud zagłusza jego słowa, wołając bezustannie:

— Do Paryża z królem! Do Paryża z królem!

La Fayette udał się do króla, by mu przedstawić żądania ludu. Ludwik XVI wyszedł na balkon i w oczach ludu przypiął sobie rewolucyjną kokardę trójbarną. To podziałało uspokajająco. Zresztą cel demonstracji został osiągnięty. W otoczeniu gwardji narodowej cała rodzina królewska udała się do Paryża i zamieszkała w

Tuilerjach. Straż nad nową siedzibą króla trzymał oddział gwardji narodowej, wyznaczony przez Lafayetta.

Ucieczka króla.

Zbliżał się 14 lipca roku 1790, Paryż szykował się do uroczystego obchodu pierwszej rocznicy zdobycia Bastylji. Na Polu Marsowem przygotowano trybuny dla 400.000 osób. Po środku wzniesiono „ołtarz ojczyzny”, zbudowany w starożytnym stylu, a dokoła niego — amfiteatr przeznaczony dla króla, Zgromadzenia Narodowego i Rady Miejskiej Paryża. Dla wykonania prac na Polu Marsowem zaangażowano 12 tysięcy robotników. W całej Francji, a przedewszystkiem w Paryżu panował zapal i entuzjazm. Gdy rozeszła się pogłoska że dwór przekupił robotników i ci naumyślnie zwlekają, by nie zdążyć na czas, posyłały się na Pole Marsowe tysiące osób, które rażno zabrały się do roboty. Naoczny świadek owych wielkich dni opowiada, że „damy z najlepszych sfer pracowały z łopata w ręku tuż obok zwykłych robotników. Pracowali mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci, książęta i wyrobnicy dzienni, biskupi i fryzjerzy, dzierżawcy wielkich dóbr i kucharze, kawalerzy orderu Ludwika i prostytutki — wszyscy pracowali ra-

zem w zgodzie, ramię przy ramieniu, śpiewając pieśni wolnościowe".

Uroczystość wypadła imponująco i wywarła niezwykle wrażenie. Brali w niej udział przedstawiciele wszystkich departamentów Francji. Pochód rozpoczynał się oddziałem uzbrojonych dzieci, a zamykał oddziałem uzbrojonych starców. Posuwano się wolnym krokiem od placu, na którym przed rokiem jeszcze stała Bastylja w kierunku Tuilerjów. Tu przyłączył się dwór królewski i wszyscy wraz z gwardją narodową i Zgromadzeniem Narodowem wyruszyli na Pole Marsowe. Całe miasto było ozdobione chorągwiami i kwiatami, a gdy pochód dotarł do Pola Marsowego dano 101 strzałów armatnich.

Przed „ołtarzem ojczyzny" odprawiono mszę, w której brało udział 300 księży w białych komżach i niebiesko-biało-czerwonych szarfach. Lafayette, który został właśnie mianowany naczelnym dowódcą gwardji narodowej całego kraju, wezwał zebranych, by przysięgli, że wszelkimi siłami będą bronili zdobytej wolności. Z blisko pół miliona piersi wyrwał się potężny okrzyk: „Przysięgamy", poczem huknęły działa, trąby zagrzmiały, a gwardja narodowa zawtórowała szczękiem broni.

Zapał doszedł do punktu kulminacyj-

nego, gdy król wystąpił przed tłumy i złożył przysięgę, że „wiernie i stale trzymać się będzie konstytucji już uchwalonej i mającej się jeszcze uchwalić”. A w ślad za nim wystąpiła królowa i wzniosłszy syna, zawołała: „Oto mój syn! On i ja podzielimy myśli i entuzjizm ludu”.

Lud był pijany wolnością. W Paryżu panowała niczem niehamowana radość. Mimo ulewnego deszczu tłum do wieczora nie opuszczał Pola Marsowego, tańcząc i śpiewając pieśni wolnościowe. Na miejscu gdzie dawniej stało okropne więzienie, ktoś umieścił olbrzymi napis: „Tańczymy na gruzach Bastylji”. Wnet zaczęły się tutaj gromadzić dziesiątki tysięcy ludzi, prze mokniętych wprawdzie do nitki, lecz nie przerywający mimo to swych śpiewów i zabaw.

Król jednak udawał tylko, że pogodził się z nowym stanem rzeczy, potajemnie natomiast szykował się do przywrócenia dawnych stosunków. Dyplomatom dworu królewskiego udało się nawet przekupić dla tego celu Mirabeau'a, który cieszył się jak wiadomo, nadzwyczajną popularnością wśród członków Zgromadzenia Narodowego. Ten wybitny mąż stanu, który odegrał decydującą rolę w pierwszych dniach przewrotu, oddawał się w później-

szym okresie rozpuście i wyuzdaniu. Wydawał na kobiety ogromne sumy pieniędzy, których dostarczał mu hojnie dwór wzamian za usługi, wyświadczone na terenie Zgromadzenia Narodowego.

Gdy pewnego dnia grupa deputowanych wniosła projekt, mający utrudniać ucieczkę wrogów rewolucji do sąsiednich krajów, Mirabeau wykorzystał swe wpływy i talent krasomówczy, by spowodować odrzucenie wniosku. A w międzyczasie na dworze przygotowano właśnie ucieczkę króla i królowej.

W myśl dokładnie opracowanego planu markiz Bouille skoncentrował część armji, która była mu bezwzględnie oddana, na granicy belgijskiej koło Montmedy. Tam miał przybyć król, by na czele wiernego mu wojska ruszyć na Paryż.

By uspić czujność rewolcjonistów, ogłoszono list króla do księcia Conde, który był uciekł zagranicę. List ten brzmiał:

„Wracaj, mój kuzynie, do ojczyzny i używaj w niej całego szczęścia, jakie ci dać może. Wracaj, gdyż zamiast wrogów znajdziesz tu braci. Rozkazuję ci to w imię niu narodu i własnem. Zaklinam cię na węzły, jakie nas łączą, na krew, która płynie w naszych żyłach. Usłuchaj albo oczę-

kuj smutnych następstw nieostrożnego swego błędu!"

Cztery dni później, mianowicie dnia 20 czerwca 1791 roku nastąpiła ucieczka. Było to o północy. Straż, postawiona przez La Fayette'a, nie była zbyt czujna. Po przysiedze króla na Polu Marsowem i jego liście do księcia Conde znikła w wielkiej mierze podejrzliwość wobec dworu.

Członkowie rodziny królewskiej przebrali się i wykradali się niepostrzeżenie, każdy z osobna z zamku. Pieszko dotarli do placu Karuzeli. Tu czekały już dwa staroświeckie powozy.

Jedna z guwernantek dzieci królewskich, niejaka pani Tourzel posiadała fałszywy paszport na nazwisko księżny rosyjskiej Korff. Król miał uchodzić za jej kamerdynera, zaś królowa i siostra króla, księżniczka Elżbieta — za damy do towarzysztwa. W tym samym powozie jechał syn króla.

Zawiadomiony o wszystkim generał Bouille ściągnął do Montmedy dość poważną siłę zbrojną. Pozatem rozlokował oddziały konnicy na wszystkich stacjach, któremi rodzina królewska miała przejeżdżać, by w razie potrzeby przyjść im z pomocą.

Króla prześladował jednak pech. Przypadek chciał, że w dniu 18 czerwca, kiedy to według pierwotnego planu miała nastąpić ucieczka, króla odwiedzili wybitni członkowie Zgromadzenia, wobec czego przygotowania do ucieczki były znacznie utrudnione. Następnego dnia strażnicy poszli bardzo późno spać, i znów nie można było opuścić Tuillerjów. Wyjazd nastąpił dopiero, jak wspomniano, 20 czerwca. Tymczasem jednak oddziały konnicy, rozstawione przez generała Bouille, po drodze do Montmedy, zaczęły zwracać na siebie uwagę lokalnych oddziałów rewolucyjnej gwardji narodowej. Widząc, że król nie przyjeżdża, generał Bouille, uważał za wskazane swą konnicę wycofać. Rodzina królewska jechała więc bez żadnej właściwej ochrony.

Mało tego! U powozu złamało się koło. Trwało dość długo, zanim je naprawiono i zdenerwowanie rodziny królewskiej było coraz silniejsze. Powóz ze złamanem kołem zwracał uwagę przechodniów. Mógł też wpaść w oko patrolującym tu i owdzie członkom gwardji narodowej. Ruszono wreszcie i dotarto szczęśliwie do St. Menchould. Cel był już wcale niedaleki. Uciekinierzy byli pewni, że przedsięwzięcie się udało i dlatego widocznie nie

zachowali się już tak ostrożnie, jak przedtem. To ich zgubiło. Król chciał już jaknajszybciej dostać się do Montmedy i dlatego naganiał pocztyljona. Zniecierpliwiony zbyt długo, jego zdaniem trwającymi przygotowaniami da dalszej podróży, król wyrzwał przez okno powozu. Zauważył go pocztmistrz St. Menehould, Jan Baptysta Drouet. Postać Burbonów była bardzo łatwa do poznania. Władząc grubą postać z zakrzywionym nosem, Drouet od razu stwierdził podobieństwo z portretem króla na asygnatach państwowych. Przyjrzał się reszcie podróżujących i poznał również królową, którą widział kilkakrotnie podczas swej służby wojskowej w Paryżu.

Drouet był człowiekiem młodym, sercem i duszą oddanym rewolucji. Odrazu domyślił się, że król próbuje uciec. Dosiadł konia i drogą znacznie krótszą dotarł do Varennes nieco wcześniej, aniżeli zdążył tam przybyć powóz z rodziną królewską.

Drouet wykazał niezwykłą energję. Wraz z kilku młodzieńcami, których zaalarmował, zatarasował drogę wozem, by utrudnić uciekinierom wjazd do miasta. Jednocześnie został obudzony burmistrz Varennes, którym był kramarz Sausse.

Ten wydał rozkaz, by natychmiast zebrała się gwardja narodowa.

Gdy powóz z królem wjeżdżał do miasta, Drouet znalazł się już na drodze. Chwyciwszy konie za lejce, zażądał w imieniu burmistrza, by podróżujący pokazali swe paszporty. Król zachowywał się narazie dość spokojnie, uważając, że chodzi o zwykłą kontrolę dokumentów. W chwili jednak, gdy rozmawiał z pocztmistrzem, w mieście rozległy się dzwony. To rewolucjoniści uderzyli na alarm. Król i jego otoczenie, zrozumieli, że są podejrzani. Tembardziej że Drouet zabrał paszport, wystawiony na nazwisko księżny Korff, oświadczając, że dokument musi jeszcze obejrzeć sam burmistrz. Ten wnet nadszedł i oznajmił królowi, że został poznany. Król zaprzeczał, jakoby był Ludwikiem XVI. Sausse obstawał jednak przy swoim i zakomunikował podróżującemu, że nie wolno im będzie ruszyć dalej, dopóki nie nadejdzie zezwolenie Zgromadzenia Narodowego.

Król wciąż jeszcze się nie przyznawał. W pewnej chwili jednak królowa, która widziała już, że sprawa jest stracona, odezwała się do burmistrza.

— Jeśli to jest król, to powinieneś odnosić się do niego z należyty szacunkiem.

Zamiast odpowiedzi Sausse wydał rozkaz miejscowej gwardji narodowej, by zaaresztowała uciekinierów. W tej chwili właśnie przycwałował oddział kawalerji, który był rozkwaterowany w Varennes. Komendant wydał rozkaz, by konnica rozpędziła gwardję narodową i towarzyszyła rodzinie królewskiej w dalszej podróży. Stała się jednak rzecz nieoczekiwana. Kawalerja nie chciała walczyć z gwardzistami. Oficerowie próbują sami bez pomocy żołnierzy odbić króla. Niektórzy znają plan ucieczki i rozumieją, że chodzi tylko o doprowadzenie króla do niedaleko położonego Montmedy, gdzie czekał już przecież generał Bouille. Dochodzi do walki między oficerami a gwardzistami. Były to decydujące chwile. Od połączenia króla z armją Bouille zależy los monarchji. Od uniemożliwienia go — los rewolucji francuskiej.

Dzwony Varennes w dalszym ciągu biją na alarm. Z okolicznych wsi przybywają pierwsze grupy uzbrojonych, zaalarmowanych dzwonem. Jest ich coraz więcej. Wreszcie i żołnierze z kawalerji porzucają swe neutralne stanowisko. Na ich żądanie jeden z oficerów gwardji narodowej obejmuje dowództwo nad oddziałem konnicy. Oficerowi kawalerji uciekają, a król wraz

z rodziną są niewolnikami rewolucjonistów Varennes.

Teraz król próbuje probami dopiąć tego, czego nie zdołał podstępnie. Rzuca się burmistrzowi na szyję, zapewniając, że chciał się udać do Montmedy jedynie po to, by stamtąd uczynić Francję i naród francuski szczęśliwszemi. Błaga, by go nie zatrzymano.

Z powozu wybiega również Marja Antonina i pokazując burmistrzowi swe dzieci, zaklina go i błaga, by się nad nimi zlitował i ratował z rąk okrutnych rewolucjonistów paryskich. Sausse pozostaje jednak niewzruszony.

W międzyczasie dowiedziano się w Paryżu o ucieczce. Natychmiast zebrało się Zgromadzenie Narodowe i uchwaliło rozkaz uwięzienia króla. Lafayette rozesłał gońców po całym kraju. Jeden z nich dotarł właśnie do Varennes i pod eskortą całej lokalnej gwardji odstawił rodzinę królewską do stolicy.

Bouille został w międzyczasie zawiadomiony o pochwyceniu króla i pospieszył na pomoc, przybył jednak za późno i nic już nie wskórał.

Zaraz po ucieczce króla przeprowadzono na rozkaz Zgromadzenia Narodowego ewizję w Tuilerjach. Znaleziono ma-

nifest, pozostawiony przez Ludwika. W manifestcie tym król lżył okropnie lud paryski i oskarżał Zgromadzenie Narodowe, że podle z nim postępowało. Cośał swą zgodę na wszelkie reformy, jako wymuszoną. Gdy lud dowiedział się o tym manifestcie, jego oburzenie nie miało granic.

Na spotkanie rodziny królewskiej Zgromadzenie Narodowe wysłało trzech swoich członków, którzy mieli jej towarzyszyć w charakterze komisarzy. Piękna królowa próbuje swym wdziękiem i powabem pozyskać przychylność wysłanników Zgromadzenia. Nie zrzekła się jeszcze, wi docznie, nadziei uratowania siebie i tronu. Wobec jednego z komisarzy, 29-letniego Barnave'a, kokieteryja Marii Antoniny odniosła pożądany skutek, Młody deputowany zakochał się w królowej po uszy. Opuścił Paryż jako zacięty rewolucjonista, a wrócił po kilku godzinach jako entuzjastyczny obrońca dworu. Jednak pozostali dwaj komisarze pozostali obojętni wobec pięknych oczu i czarującego uśmiechu królowej.

Króla przyprowadzono do Paryża pod osłoną szesnastu armat. Na ulicach były rozklejone afisze z napisem: „Kto Ludwika XVI radośnie powita, będzie obity, kto go zelży, będzie powieszony!”.

Przylapanych uciekinierów stolica powitała w ponurem milczeniu. Niezliczone tłumy obsiadły drzewa i dachy domów przyglądając się niezwykłemu pochodowi, nikt jednak nie przerwał grobowej ciszy. Wywarło to na rodzinie królewskiej niezwykle wrażenie.

Rzeź na Polu Marsowem.

Po nieudanej ucieczce króla, w całej Francji, a przede wszystkim w Paryżu wzmocnił się bardzo ruch republikański, dążący do całkowitego zniesienia ustroju monarchistycznego. W klubie tak zwanych jakobinów brali coraz bardziej górę skrajne elementy rewolucyjne. W Zgromadzeniu Narodowem również utworzyła się grupa republikanów, na czele której stanęli Robespierre i Danton. Jednak większość Zgromadzenia Narodowego była jeszcze monarchistycznie usposobiona i wniosek wytoczenia królowi procesu za jego ucieczkę do Varennes został odrzucony. Zgromadzenie stwierdziło w swej rezolucji, że Ludwik nie uciekł, lecz go uprowadzono i przywróciło mu nawet funkcje monarchy.

Uchwała ta wywołała niezwykle oburzenie wśród ludu Paryża. W klubie jakobinów przygotowano petycję, domaga-

jącą się detronizacji króla, olbrzymie afisze rozlepiane na murach miasta, wzywały ludność by przybyła na Pole Marsowe celem podpisania petycji. W oznaczonym dniu 17 lipca zebrały się niezliczone tłumy. Na Polu Marsowym toczyły się namętne dyskusje. Coraz to inni z radykalnych przywódców stawał na jakimś wzniesieniu i wygłaszał płomienne przemówienia przeciw królowi i ustrojowi monarchistycznemu. Jeden prześcigał drugiego pod względem radykalizmu. Rozlegały się okrzyki. „Wypędźcie Burbonów! Precz ze Zgromadzeniem Narodowym! Rozpędźcie Zgromadzenie Narodowe! Precz z królem!”

A Zgromadzenie obradowało w międzyczasie i postanowiło wydać rozkaz władzom municypalnym stolicy, by w żaden sposób nie dopuściły do podpisania petycji. Zaraz zrana La Fayette skoncentrował oddział gwardji narodowej w pobliżu Pola Marsowego. Czekał na okazję, by rozpędzić tłum. Okazja szybko się nadarzyła. Gdy powstała pierwsza poważniejsza sprzeczka między dyskutującymi, La Fayette wysłał na Pole Marsowe kilkudziesięciu gwardzistów. Lud przyjął ich kamieniami i szybko uwolnił czterech rewolucjonistów, których patrol zaaresztował. Z urzędu municypalnego kazano wów-

czas trąbić na alarm. Rozległy się strzały alarmowe z armat. Ukazała się czerwona chorągiew, która oznaczała, że w mieście został zaprowadzony stan wojenny. Na Pole Marsowe przybył wnet sam La Fayette z wojskiem, o wiele liczniejszym, aniżeli przedtem. Do walki ruszyło 1200 żołnierzy piechoty, trzy szwadrony kawalerji, a w pogotowiu stały prócz tego trzy armaty.

Tłum próbował w pierwszej chwili stawić opór. Z okrzykiem „Precz z czerwoną chorągwią!” — ruszono się ku żołnierzom, zasypując ich gradem kamieni. Wojsko odpowiedziało gęstą strzelaniną, kładąc trupem setki demonstrujących.

Tłum rozbiegł się z wrzaskiem, a władze Paryża tegoż jeszcze dnia nakazały przeprowadzenie śledztwa. Wielu przywódców republikańskich uważało za stosowne skryć się czasowo, by nie zostać zaaresztowanymi.

W dniu 3 września Zgromadzenie Narodowe uchwaliło w ostatecznej redakcji konstytucję, która nadała Francji charakter monarchji napół demokratycznej.

Zaraz potem rozpisano nowe wybory. W następnem tak zwanem Zgromadzeniu Prawodawców, dominowali żyrondyści*).

*) Partja umiarkowanie - demokratyczna.

Jednak lewica również urosła w siły, opierając się głównie na klubie jakobinów i zrewoltowanym ludzie paryskim.

Pierwszy okres prac Prawodawczego Zgromadzenia Narodowego wypełniały utarczki z królem, który starał się hamować przy pomocy pozostawionego mu prawa „veto”*) starał się nie dopuścić do realizacji reform, które Zgromadzenie uchwalało. Oburzenie mas przeciw królowi wciąż rosło i doszło do punktu kulminacyjnego gdy okazało się że dwór zdradza kraj. W owym czasie Austria i Prusy wypowiedziały wojnę Francji. Lud francuski wykazywał nadzwyczajny patriotyzm, spiesząc masami pod oręż, by ratować ojczyznę. Król zachęcał do walki. Potajemnie jednak utrzymywał ścisły kontakt z wrogiem. Był pewny że Austria i Prusy zwyciężą i przywrócą jego dawne absolutystyczne prawa monarsze. O tej zdradzie króla dawno już krążyły po Paryżu najrozmaitsze pogłoski. Brakło jednak konkretnych dowodów. Dostarczył ich w końcu dowódca armji pruskiej, która miała wtargnąć do Francji, książę Karol Wilhelm Ferdynand Brunświcki.

Krół Ludwik XVI sam ułożył manifest

*) Prawo uchYLENIA uchwał parlamentu, przysługujące monarsze, prezydentowi republiki i t. p.

który książę Brunświcki miał ogłosić przed rozpoczęciem działań wojennych przeciw Francji. Po przeczytaniu tego manifestu książę orzekł, że jest zbyt łagodny i kazał komuś ze swej świty napisać inny tekst, który też został zatwierdzony i wydany. Dworak, który był autorem manifestu, zapomniał jakby o tem, że król Ludwik XVI znajduje się narazie w Paryżu, gdzie władzę mieli przecież rewolucjonisci. Manifest zapowiedział doszczętne zniszczenie stolicy francuskiej i wymordowanie jej rewolucyjnej ludności, jeżeli Ludwikowi XVI stanie się najmniejsza krzywda. Tajny sojusz między królem Francji a jej wrogami był jasny, jak na dłoni. Powszechne oburzenie było tem większe, ponieważ Ludwik XVI był właśnie tym, który udawając wielkiego patriotę, najbardziej naglił do rozpoczęcia działań wojennych przeciw Austrii i Prusom. Zrozumiano, że życzył sobie i liczył na klęskę Francji, wiedząc, że nieprzyjaciół przywróci jego dawne prawa.

Powstanie jakobinów.

Klub jakobinów obradował bezustannie. Padło hasło natychmiastowej detronizacji króla. Paryż przypominał wzburzone morze. Lud zerwał się jak zraniony lew.

Uświadomił sobie w jednej chwili że wszystkie ofiary, jakie ponosi dla obrony ojczyzny są daremne, skoro na tronie Francji siedzi człowiek, który spiskuje z wrogiem.

W Zgromadzeniu Narodowym toczyły się nieustanne dyskusje, ale na decyzję nie można było się zdobyć. Frakcja zwolenników króla była jeszcze dość wpływowa, a wielu deputowanych z innych ugrupowań dwór poprostu przekupił. Gniew ludu zwracał się coraz bardziej nie tylko przeciw dworowi, ale również przeciw Zgromadzeniu Narodowemu. Jakobini całym otwarcie przygotowywali zbrojne powstanie mas. Dnia 9 sierpnia 1792 roku postavili oni Zgromadzeniu Narodowemu ultimatum: jeśli do północy król nie będzie zdetronizowany, to dzwony Paryża uderzą na alarm.

W Zgromadzeniu zawrzało, ale decyzji nie powzięto. O północy istotnie uderzono na alarm. Przedmieścia się poruszyły, lud chwycił za broń. W ulicach zagrzemiały dźwięki marszów rewolucyjnych. Długie kolumny powstańców stanęły w szyku bojowym. Włodzowie jakobinów Danton i Desmoulins biegali od jednego oddziału do drugiego, zagrzewając do boju. Hasło do powstania dał właśnie Danton wystrzałem z pistoletu.

Pierwsze wyruszyły oddziały rewolucjonistów, przybyłe z Marsylii. Sprowadziły one ze swego miasta potężną pieśń rewolucyjną, ułożoną przez oficera de Lisle'a a znaną dziś pod nazwą Marsyljanki. Z tą pieśnią na ustach Marsylczycy wyruszyli do boju, зараżając i zapalając oddziały rewolucyjne, przybyłe z innych departamentów. Marsyljanka stała się tej nocy pieśnią bojową całej rewolucyjnej Francji. Śpiewały ją masy Paryża i rewolucyoniści całego kraju, szykując się do ostatecznego boju przeciw monarchji. O godzinie pierwszej po północy oddział powstańców wkroczył do ratusza, zmusił do dymisji cały dotychczasowy Zarząd miasta i członków Rady Miejskiej. Ich miejsce zajęli wypróbowani demokraci, wyznaczeni przez jakobinów. Nowy zarząd Paryża odrazu objął kierownictwo powstania, które z każdą chwilą przybierało na rozmachu.

W Tuilerjach również szykowano się do boju. Dwór miał do swej dyspozycji gwardję przyboczną króla, liczącą 1000 szwajcarów, kilka bataljonów gwardji narodowej oraz 120 uzbrojonych szlachciców. Obecność szlachty podziałała deprymująco na gwardzistów narodowych, którzy nie zapomnieli przecież, że uzbrojono ich właśnie do walki ze stanami uprzywi-

lejowanemi. Gdy król wyszedł nad ranem do swych obrońców, by przeprowadzić przegląd, niektóre bataljony przywitały go okrzykiem: „Niech żyje naród!” Przegląd wypadł fatalnie i król wrócił do swych komnat całkiem przygnębiony.

Gdy straż zewnętrzna Tuilerjów zawiadomiła, że powstańcy zbliżają się do zamku królewskiego, kanonierzy z gwardji narodowej zamiast szykować się do boju wyjęli ładunki z armat.

Jakiś gwardzista wysunął się z szeregu i zawołał:

— Kto z was, obywatele, będzie walczył ramię o ramię ze szlachtą przeciw ludowi?

— Niech żyje naród! — rozległo się z setek piersi.

Okazało się wnet, że zaledwo dwa bataljony gwardji narodowej gotowe są bronić króla przed powstańcami. Siła obronna dworu była dość mizerna. Obrońcy Ludwika XVI nie posiadali w dodatku swego komendanta, którego nowy zarząd miasta zdołał w nocy zaaresztować. A ilość powstańców wynosiła przeszło 20.000. Wszyscy byli świetnie uzbrojeni, bo grupa jakobinów wyłamała drzwi arsenału i zaopatrzyła wszystkich w broń.

Nad ranem minister królewski Røde-

rer wpada zdenerwowany do komnaty monarchy i radzi parze królewskiej udać się natychmiast do Zgromadzenia Narodowego, by tam szukać schronienia.

Królowa: Wolałabym raczej dać się przygwoździć do ściany.

Minister widzi, że królowa wciąż jeszcze nie zdaje sobie sprawy ze zgrozy sytuacji. Powiada więc po pewnem zastanowieniu:

— Czy chce pani wziąć na siebie odpowiedzialność za śmierć króla, własną śmierć oraz śmierć Pani dzieci i obrońców?

Piękne oczy królowej wyrażały teraz lęk i rozpacz. Król zbladł i omal nie zemdlał. Widmo śmierci unosiło się w komnacie. Z ulicy dochodziły coraz donośniejsze dźwięki marszów rewolusyjnych. Rödeler naglił. Królowa się więcej nie opierała. W towarzystwie 300 szwajcarów i 300 gwardzistów król wraz z rodziną udał się do Zgromadzenia. Był już naprawdę najwyższy czas. Obrońcy króla z trudem utorowali mu drogę przez wielki tłum, który zebrał się koło ujeżdżalni, gdzie obradowało Zgromadzenie. Słychać było okrzyki przeciw monarsze. Bardziej krewcy starali się przerwać kordon i dotrzeć do króla. Omal nie doszło do bójki.

Króla uratowała delegacja, wysłana przez Zgromadzenie Narodowe na jego spotkanie.

Król był blady jak trup. Gdy wszedł na salę posiedzeń, powiedział do deputowanych głosem drżącym ze zdenerwowania:

— Przychodzę, by zapobiec wielkiej zbrodni. Sądzę, że nigdzie nie jestem tak bezpieczny, jak wśród Was.

Tuż po opuszczeniu Tuilerjów przez rodzinę królewską przybyły tam zbrojne oddziały powstańców. W pierwszej chwili zdawało się, że sprawa obejdzie się bez przelewu krwi. Szwajcarzy nie zdradzali zbytnej ochoty do walki, uważając widocznie, że nie mają już kogo bronić, skoro król opuścił zamek. Powstańcy, którzy wypełnili dziedziniec Tuilerjów, rzucali tylko okrzyki i drwili.

W jednej grupie doszło jednak do ostrej wymiany zdań, która wnet przeistoczyła się w bójkę. Padł strzał, który stał się sygnałem do boju. Szwajcarzy dali ognia, a masy powstańcze rozbiegły się w pierwszej chwili na wszystkie strony, pozostawiając na dziedzińcu zamku sporo rannych i trupów. Do rąk szwajcarów wpadło również kilka armat, sprowadzonych przez powstańców. Strzelano z nich później do uciekającego ludu.

Krew polała się strumieniami. Wśród powstańców powstała panika. W pewnej chwili zdawało się, że wszystko przegrane. Wódz powstańców Westerman nie stracił jednak zimnej krwi. Zbiera uciekających i przypuszcza szturm do zamku. Przewaga przechyla się szybko na stronę ludu. Szwajcarzy się cofają. Powstańcy zdobywają wielkie schody pałacu. Walka toczy się już w korytarzach i salach. Od króla nadchodzi rozkaz do szwajcarów, by przerwali walkę. Nic jednak nie jest w stanie już uspokoić rozjuszonych. Goniec nie może nawet dotrzeć do walczących lub ich przywódców, by oznajmić wolę króla. Walka trwa w dalszym ciągu. Padają prawie wszyscy szwajcarzy, uzbrojona szlachta i nawet służba dworska. Oszczędzono tylko kobiety. Zniszczono również wiele kosztownych rzeczy, a przede wszystkim wszelkie oznaki monarchji Burbonów.

W Zgromadzeniu Narodowem ulokowano rodzinę królewską w loży stenografa, protokującego obrady. Z pałacu Tuilerjów dochodził coraz donośniejszy odgłos strzałów armatnich. Maria Antonina zdążyła się całkiem opanować i dzielnie ukrywała swe zdenerwowanie, zachowując się dumnie i z godnością iście królowej. Król natomiast całkiem się zatra-

cił. W pewnej chwili poprosił, by mu da-
no coś do zjedzenia, bo jest głodny. Nie
zapomniał przytem wymienić, co mu naj-
lepiej smakuje. Podano mu kurczaka i mo-
narcha smacznie zjadał w łoży stenagrafa
w chwili, kiedy Zgromadzenie obradowa-
ło nad detronizacją, a powstańcy szturmo-
wali jego zamek. Przyglądał się liczny
delegacjom, które przybywały do sali ob-
rad, żądając od Zgromadzenia, by uchwali-
ło detronizację.

Gdy Zgromadzenie przysłuchiwało się
wywodom delegatów, do sali przedarli się
to po jednym, to po kilku bojowników lu-
dowych. Byli zbroczeni krwią i osmoleni
prochem. Biegając między ławami deputo-
wanych, oznajmiali o zwycięstwie powstań-
ców, a skrajni deputowani wtórowali im
okrzykami przeciw królowi i za wolnoś-
cią. Przybyła delegacja paryskiej Rady
Miejskiej. Przed nią niesiono olbrzymi
sztandar z napisem: „Ojczyzna! Wolność!
Równość!” Delegacja zachowywała się w
sposób stanowczy. Swe żądania przed-
stawiła Zgromadzeniu tonem, który zdra-
dzał siłę i zdecydowanie. Sala Zgroma-
dzenia wypełniała się coraz bardziej. Pokrwa-
wieni bojownicy mieszały się z funkcyj-
narjuszami Zgromadzenia, a rewolucyjni
delegaci z deputowanymi. Radykalni po-

słowie naglili do uchwał. Chwiejni stali się bardziej odważnymi, a nawet umiarkowani przekonali się, że muszą zrezygnować ze swego oporu, jeśli sami nie chcą zginąć. Zgromadzenie uchwaliło zawiesić króla w urzędowaniu, przerwać wypłatę listy cywilnej, uwięzić rodzinę królewską w tak zwanej wieży Templu i oddać ją pod dozór paryskiej Rady Miejskiej.

Lud, zebrany na sali obrad, przyjął tę uchwałę okrzykami entuzjazmu. Marsylczycy, którzy przybyli właśnie z placu boju zaintonowali Marsyljanke, którą podchwyciły masy powstańców i wielu deputowanych.

Wypadki z dnia 10 sierpnia wyniosły do władzy nowe siły. Umiarkowani żyrondyści, choć mieli przewagę w Zgromadzeniu Narodowym, obawiali się jednak sami rządzić bez jakobinów. Ci mieli bowiem decydujący wpływ na masy paryskie i oddziały powstańców, przybyłych do stolicy z różnych departamentów kraju. Ministrem sprawiedliwości zamianowano wodza jakobinów Dantona, który, opierając się na uzbrojonym ludzie Paryża stał się wnet prawdziwym panem i władcą Francji. Wykazywał wprost nieprawdopodobną energię zarówno w walce z rojalistami, którzy wciąż jeszcze zagrażały nowemu u-

strojowi wewnątrz kraju, jak również z wojskami pruskiemi i austryjackiemi, które nacierały z zewnątrz, również dążąc do przywrócenia dawnych stosunków. W Radzie Miejskiej umocnił swe wpływy przyjaciel Dantona i jego późniejszy oskarżyciel Robespierre, który co noc wygłaszał przemówienia, napętlając salę ratusza swym ukochanym przez lud pięknym a dźwięcznym głosem.

Ukazał się również na powierzchni życia publicznego groźny Marat, który dotychczas ukrywał się w różnych piwnicach. Ten najradykałniejszy z pośród ówczesnych rewolucjonistów francuskich, napadał w swem piśmie „Przyjaciel Ludu” nietylko na dwór, lecz także na żyrondistów, którzy go z tego powodu okrośnie prześladowali. Nowe władze zamianowały Marata przewodniczącym rewolucyjnego wydziału dozoru, mającego na celu walkę przeciw reakcjonistom.

Rozpoczął się okres krwawej zemsty ludu nad rojalistami, którzy go tyle razy oszukiwali i spiskowali z wrogami Francji. Zemsta ta przybierała najokrutniejsze formy. Do rozgoryczenia przyczyniły się również klęski wojsk francuskich na froncie, a wiadziano przecież, że rojaliści z niecierpliwością czekają na wkroczenie armji

nieprzyjacielskiej do Paryża i wszelkiemi sposobami jej pomagają. Gwałty, dokonane nad przeciwnikami politycznymi miały jakby przebieg przypieczętować przejście władzy do rąk jakobinów.

Dnia 1 września znów zahuczały dzwony, a orkiestry zagrały marsze rewolucyjne. Masy wdarły się do więzień, wypełnionych reakcjonistami, których Danton zdążył w międzyczasie zaaresztować. Rozpoczęła się okrutna rzeź, która trwała blisko tydzień. Zabijano winnych i niewinnych, w nielicznych tylko wypadkach uwalniano. Nad skazańcami okropnie się znęcano. Niepomysłne wiadomości, nadchodzące z frontu, a przede wszystkim fakt, że Verdun się poddał i droga do Paryża jest otwarta, jeszcze bardziej rozjuszyły tłum. Były wypadki, kiedy do więźniów strzelano kartaczami, nie próbując nawet uprzednio stwierdzić, czy wśród zabijanych nie ma niewinnych.

Rząd z Dantonem na czele był całkowicie zajęty organizacją obrony przeciw posuwającym się naprzód wojskom nieprzyjacielskim. Zdziałano na tem polu bardzo wiele. W ciągu kilku dni uzbrojono 40.000 ochotników, którzy zaraz wyruszyli na pole bitwy. Skutki wzmocnienia armji francuskiej szybko dały się Prusa-

kom we znaki. Dalszy pochód utrudniały również mrozy. W armji pruskiej zaczęła się w dodatku epidemja, która poprostu dziesiątkowała pułki księcia brunświckiego. Prusacy zmuszeni byli wycofać się z raz już zajętych pozycji i Verdun znów dostał się do rąk Francuzów.

Król na szafocie.

Po wypadkach wrześniowych Zgromadzenie Narodowe straciło wszelkie znaczenie. Zostało zresztą szybko rozwiązane, ustępując miejsce Konwentowi Narodowemu. Obrady Konwentu wypełniały zaciekle walki między jakobinami a żyrondistami. Ci ostatni w pierwszym okresie całkiem opanowali konwent, tracili jednak stopniowo swe wpływy na skutek wystąpienia ludu paryskiego, który był po stronie jakobinów. Walka między obiema partjami w konwencie doszła do punktu kulminacyjnego, gdy na porządku dziennym stanęła sprawa zdetronizowanego króla. Los Ludwika XVI elektryzował w owym czasie dosłownie całą Europę. Domy panujące różnych państw uznały sprawę króla francuskiego za swoją własną. W Paryżu znaleziono w międzyczasie coraz to nowe dowody, świadczące o współpracy Ludwika z obcemi państwami celem obalenia

nowego ustroju. W Tuilerjach odkryto „żelazną szafę”, do której król chował swą tajną korespondencję. Znaleziono tam dokumenty, świadczące o tem, że Ludwik przekupywał posłów Zgromadzenia Narodowego, dawał instrukcje szlachcie, która uciekła zagranicę, jak ma walczyć przeciw nowym władzom francuskim, i prowadził ożywioną korespondencję z pruskimi generałami, którzy maszerowali na Paryż. Jakobini nie omieszkali dokumenty te ogłosić, i ze wszystkich stron zaczęto się domagać, by królowi wytoczono proces.

Najwięcej energii przy akcji przeciw królowi wykazała komuna paryska, całkowicie opanowana przez jakobinów. Przed konwentem stale defilowały delegacje, domagające się ukarania Ludwika XVI. Szczególne wrażenie wywarła defilada rannych z dnia 10 sierpnia. Ich okrzyki „zemsty za krew naszą i naszych braci.” nie pozostały bez wpływu na dalsze zachowanie wielu chwiejnych posłów.

Wreszcie nawet żyrondyści nie mogli się oprzeć naciskowi ludu paryskiego i Konwent uchwalił większością głosów, że królowi ma być wytoczony proces. Specjalnie dla tego celu wybrany wydział był przez długie miesiące zajęty układaniem aktu oskarżenia. Dnia 11 września król został

wezwany do konwentu, który postanowił przesłuchać byłego monarchę. Wysłannicy konwentu wsadzili króla do eleganckiej karety, której przez całą drogę z Temple'u aż do Zgromadzenia Narodowego towarzyszyło aż 600 gwardzistów. Na ulicach zebrały się olbrzymie tłumy i w milczeniu przyglądały się tej niezwykłej procesji.

W Konwencie przewodniczący Barrere wygłosił dłuższe przemówienie, wskazując deputowanym na wielką rolę, jaka im przypada w charakterze sędziów byłego króla.

— Obywatele — powiedział Barrere. Cała Europa na was patrzy. Przyszłe pokolenia będą was sądziły z nieugiętą surowością. Zachowujcie przeto godność i bezstronność, które przystoją sędziom.

Zaś do wchodzącego króla przewodniczący konwentu zwrócił się słowami, które dziwnie brzmiały, będąc skierowane do człowieka, który niedawno był nieograniczonym władcą całej Francji:

— Ludwiku. — powiedział Barrere— Naród pana oskarża. Zostaną panu przeczytane akty, które zawierają dane przeciw panu. Ludwiku, siadaj pan!"

W czasie badania Ludwik zwał wszystko na swych ministrów, wypierając się

wszelkiej winy, szacunek dla osoby byłego monarchy i wzgląd na jego tragiczne położenie mały z każdą chwilą.

Kilka tygodni później, mianowicie 26 grudnia, król znów stanął przed konwentem. Jego oficjalni obrońcy wygłaszali namiętne mowy, starając się udowodnić niewinność Ludwika. Oskarżali z niezwykłą gwałtownością jakobini, a przede wszystkim Robespierre. Żyrondyści zajęli chwiejne i niejednolite stanowisko.

Cała Europa przysłuchiwała się z zapaartym oddechem przebiegowi obrad konwentu. W Paryżu odbywały się ciągle demonstracje za i przeciw królowi. Dochoodziło często do bójek. Dnia 14 stycznia rozpoczęło się wreszcie głosowanie nad losem Ludwika. Trybuny konwentu były przepełnione. Oblegały je gęste masy ludu paryskiego, który swem zachowaniem odbierał ukrytym zwolennikom króla odwagę do występowania w jego obronie.

Głosowanie trwało trzy dni. Posłom, którzy występowali w tym wypadku w charakterze sędziów postawiono trzy pytania:

Pierwsze pytanie brzmiało:

„Czy Ludwik Capet*) winien jest spi-

*) Capet—nazwisko króla Ludwika XVI.

sku przeciwko wolności narodu i zamachu na ogólne bezpieczeństwo państwa?"

Na ogólną liczbę 749 członków konwentu było obecnych 726. Wszyscy oni jednomyślnie odpowiedzieli twierdząco, niektórzy tylko zaznaczyli w swej odpowiedzi, że nie uważają siebie za kompetentnych do orzeczenia kary.

Drugie pytanie brzmiało:

„Czy wyrok Konwentu na Ludwika Capet—jakikolwiek on będzie—ma być przedłożony ludowi do zatwierdzenia?"

Pytanie to postawiono na żądanie żyrondistów, którzy bali się wziąć na siebie odpowiedzialność za ukaranie króla.

Poddano pod głosowanie pytanie ostateczne, najważniejsze:

„Jaka kara ma spotkać Ludwika Capeta?"

Z obecnych 726 posłów 5 powstrzymało się od głosowania. Absolutna większość głosujących wynosiła więc 361. Tylu właśnie oddało swój głos za karą śmierci bez wszelkich zastrzeżeń. 36 posłów wypowiedziało się za karą śmierci z tem jednak, że egzekucja zostaje narazie odroczone, zaś 2 głosujących za karą śmierci wyrażało życzenie, by się nad odroczeniem egzekucji zastanowiono. Za więzieniem lub wygnaniem wypowiedziało się 283 członków Konwentu.

Głosowanie nad trzecim pytaniem trwało więcej, aniżeli 24 godziny. Każdy poseł, oddający swój głos musiał stanąć na trybunie i wygłosić przemówienie, w którem swoją odpowiedź umotywował. Głosowanie przeciw królowi przyjmowano oklaskami.

Dramatycznie brzmiało przemówienie księcia Orleańskiego, który starał się usprawiedliwić, dlaczego głosuje za straceniem swego kuzyna. Zaraz po nim wstąpił na trybunę poseł Sieyes i oddając swój głos powiedział krótko: „Śmierć bez frazesów”.

W całym prawie Paryżu panowało głuche milczenie w dniu, kiedy prowadzono króla na szafot. Było to 21 stycznia 1793 roku o godzinie 9 rano. Na życzenie skazanego dopuszczono do niego księdza Edgeworth'a, który się dotychczas ukrywał bo odmówił przysięgi na konstytucję.

Ludwik jechał przez miasto w karecie burmistrza, który zgosił się po niego w Temple'u. Obok króla siedział ksiądz Edgeworth. Ludwik przez całą drogę odmawiał modlitwy za umierających.

Koło godzinypół do dziesiątej kareta dotarła do placu Rewolucji. Tam właśnie ustawiono szafot naprzeciwko Tuilerjów, ostatniej siedziby królewskiej. Naokoło

szafotu była ustawiona artylerja, a za nią masy uzbrojonych ludzi w ilości powyżej 40.000.

Gdy karetą przybyła na plac Rewolucji, panowała tu grobowa cisza, w pewnej tylko chwili przerwana przez małą grupę rojalistów, którzy zawołali:

— Ratuemy króla!

Konnica ich szybko rozpedziła. Uderzono w bębny.

Gdy kat zbliżył się do skazańca, by mu związać ręce, król się temu gwałtownie opierał. Nie chciał również pozwolić, by mu zdjęto surdut. Wówczas doszedł do niego ksiądz Edgeworth i namówił, by nie stawiał oporu. Król usłuchał.

Gdy Ludwik stanął na szafocie, bębny umilkły i zapanowała głęboka cisza. Całkiem niespodzianie król zwrócił się do zebranych tłumów i powiedział:

— Francuzi! Umieram niewinny! Zbrodni, które mi zarzucają, nie popełniłem. Przebaczam sprawcom mojej śmierci. Oby moja krew utrzymała szczęście Francji!

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale na rozkaz komendanta generała Berruyer znów uderzono w bębny i dalsze słowa króla zagłuszono. Dwadzieścia minut po godzinie dziewiątej głowa Ludwika XVI wpadła do kosza gilotyny.

Koniec.